



Credo na kredyt

Bogdan Mazan

BOGDAN MAZAN

CREDO NA KREDYT

Nie mając zaufania, gdy idzie o ankiety, do wtórnych odruchów, zawierzę pierwszemu odczuciu, jakie mi się nasunęło *à propos* sekwencji pytań zaaplikowanych przez Redakcję „Pamiętnika Literackiego”. Sygnalizuję je w tytule jako zaobserwowany punkt moich spotkań z historią literatury, mających zaś taką przeszłość – a więc będą stosowne retrospekcje („moje uniwersytety”) – że już nic innego, poza owym hasłem, nie chciało mi się równie nachalnie wbić w pamięć. Do tego dołączą się obserwacje niektórych znaków dawnego i obecnego czasu oraz postulaty, zapewne idealistyczne, jak byłoby można wypłacić się literaturoznawstwu bezkredytowo. Zatem odpowiedzi na ankietowe pytania wysupłują mi się właśnie, jako z odskoczni, z porządku wspomnień zapisanych na twardym dysku. Zacznę więc od nich i od upodobań, które mówią: „to lubię” w dawnym i współczesnym literaturoznawstwie.

Jako ilustracja tego, czego mi dzisiaj brakuje – nasuwa się wspomnienie dawnych częstych spotkań w Instytucie Badań Literackich, organizowanych przez prof. Janusza Maciejewskiego. Ich niegdysiejsi uczestnicy to dzisiejsza profesura, kierownicy katedr i zakładów, redaktorzy poważnych pism, autorzy interesujących opracowań. Stwarzały owe spotkania niepowtarzalną atmosferę osobliwych napięć myśli, nieposzanowania dla autorytetów nie mających nic do powiedzenia oraz zasłuchań, jakich od tamtego czasu nie miewam, i sporów, jakich już nie prowadzę. Ta magia miejsca krystalizowała się i odrywając się od podłoża przenosiła się wraz z nami na konferencje, gdzie wcale nie stanowiliśmy bractw wzajemnej adoracji. Wniknęła też zapewne do publikacji i była niesłychanie inspirująca. Skończyła się z wolna, naturalną (biologiczną) koleją rzeczy, a także zgodnie z rytmem rozmaitych zdarzeń. Zaowocowała rozprawami habilitacyjnymi i nieocenionymi publikacjami, np. Dobrosławy Świerczyńskiej. Przez pamięć i niewybrzmiałe impulsy z tamtych lat zbieramy się jeszcze i wspólnie mobilizujemy, spoglądając na racje i postawy nowego pokolenia polonistów: czy wznowi spór? czy warto wznawiać spór?

Z tamtych lat bardzo sobie cenię rozmowy z Mistrzem – prof. Zdzisławem Skwarczyńskim, kandydatem na dyrektora IBL-u, rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, na koniec kierującym instytutem i katedrą. Był to prawdziwy koneser literatury i arystokrata ducha, niepodległy wewnętrznie mimo warunków PRL-u ciągle wymuszających jakieś koncesje. Zapamiętałem zarówno skrzywienie jego butów, gdy zbliżał się do pokoju asystenckiego nadzwyczajnie zachęcając do wszelakich

poczyznań, jak i wskazówki poprawnościowe oraz „chwyt” stylistyczne (nazywałem je „szefizmami”), staromodnie piękne, treściowo nieomyłne, zabarwione finezyjną ironią. Chociaż był dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, nieoficjalnie wspierał strajk studencki (wczesny okres „Solidarności”), przekazując na moje ręce środki płatnicze z własnej kieszeni i udzielając rad; wszystko to działo się w łódzkim centrum ogólnopolskiego niezależnego ruchu studentów. Wymagał konsekwencji i posłuszeństwa, nawet kiedy nic nie mówił na ten temat. Ale cenił też umotywowaną niezależność. Dzięki jego zachętom szybko nauczyłem się pisać na maszynie (ówczesna sprawność odpowiadająca, przy zachowaniu proporcji w porównaniu, dzisiejszej obsłudze komputera). Jednak nie nauczyłem się, wbrew inspiracjom, jidysz, potrzebnego do pracy nad dawnymi łodzianami, czego trochę żałuję. I mimo pozytywnych wyników testów, na jakie skierował mnie Profesor, odstąpiłem od doskonalenia sztuki szybkiego czytania, prezentując swój pogląd na ten temat, który sprowadzał się do argumentu, że skoro potrafię już prędko dotrzeć do określonych informacji, na tym trzeba poprzestać, kładąc nacisk na czytanie dobre, efektywne jakościowo, a nie tylko ekspresowe w przyswajaniu wątków i fabuł, a nawet pozostające poniżej tego poziomu¹. Pozytywista poparłby mnie słowami: „Im kto więcej czyta z konieczności [...], tym łatwiej dochodzi do tej wprawy, że może przeczytać książkę lub rękopis w czasie dziesięć razy krótszym niż zazwyczaj”².

Tak już po swoim czytając, poznałem nieomalże wszystko, co napisał Świętochowski, a były tego dziesiątki roczników dawnych czasopism, nieraz całe w postaci mikrofilmów, jak np. warszawski ultrapostępowy dziennik „Nowiny” z 1880 roku, niedostępny w kraju³. Ale też rozszerzały się konteksty spraw, jakim poświęcałem uwagę, więc rozprawa doktorska zaczęła się objętościowo rozrastać i mogłaby tak w nieskończoność, gdybym właśnie korzystając z przyzwolenia na uzasadnioną samodzielność, nie powiedział stanowczo (po sienkiewiczowsku): „*iam satis!*”.

W szkole Skwarczyńskiego można było nauczyć się szacunku dla badań materiałowo-źródłowych i faktów okołoliterackich, a także widzenia szerokiego, horyzontalnego, krytycznie otwartego na nowinki metodologiczne; wreszcie literaturoznawczej klasyki akademickiej, w tym szlifowania ujęć i myśli, by osiągały maksymalną celność i przejrzystość. Dlatego potem już, gdy Mistrz odszedł – a byłem ostatnim wypromowanym przez niego doktorem i jedynym badaczem pozytywizmu – mogłem w mojej polonistycznej drodze, którą zinterpretowałem jako kształcenie permanentne, uczyć się samodzielnie na przykładach wzorowych warsztatów literaturoznawczych. Od tamtego czasu – do dziś – w ogóle chętniej czytam prace jednych autorów niż innych. Wzory trwałe, przechodnie i lektury doraźne zapewnia mi biblioteka, może nie tak obszerna jak ta pięknie i nawet czule opisa-

¹ Właśnie przeczytałem w lokalnej gazecie (*Tysiące słów na minutę*. „Express Ilustrowany” 2001, nr z 27 VIII, s. 1. Podkreśl. B. M.), że 15-letnia zwyciężczyni regionalnego konkursu szybkiego czytania osiągnęła wynik „10 498 słów na minutę przy pięćdziesięcioprocentowym zrozumieniu tekstu”. Czy warto było? Czego nie zrozumiała?

² J. Ochorowicz, *Z dziennika psychologa. Wrażenia, uwagi i spostrzeżenia w ciągu dziesięciu lat spisane*. Warszawa 1876, s. 212.

³ W początkach stanu wojennego przysłano mi w trybie pilnym z mikrofilmowany rocznik z Biblioteki im. Sałtykowa-Szczedrina w Leningradzie, wzorowo reagując na prośbę o pomoc.

na przez Henryka Markiewicza⁴, ale równie droga. W sympatiach książkowych jestem wierny pewnemu kanonowi, a oprócz tego zmienny i otwarty, ciągle gotów do kochania (jak w serdecznych afektach Wołodyjowski z *Trylogii*), jednak nie znajdując innego „hajduczka” poza bezkonkurencyjną Księgą Ksiąg. Stąd się biorą wzory i preferencje, skupione przede wszystkim wokół prac nad literaturą drugiej połowy XIX wieku. Gdyby je rozłożyć na jakieś pierwiastki składowe, tak by wyglądały jak wymienione dalej według autorów ułożonych w porządku alfabetycznym, bardzo przydatnym, jeśli się nie wie, od czego, tj. od którego autora, zacząć. Od razu dodam, że uwarunkowania lub różnice światopoglądowo-ideowe nic tu nie mają do rzeczy; co dobre, przebija każdą skorupę, a jedynie by mnie odstraszył brak jakichkolwiek skryzalizowanych przekonań. A więc prace Józefa Bachorza cenię za innowacyjność, jasne widzenie trudnych spraw i niepowtarzalne spatynowanie XIX-wiecznością (atmosferą domów, językiem ojców); Tadeusza Bujnickiego – za osobność, zdystansowany zmysł syntezy i analizy oraz celność w kreowaniu i rozwiązywaniu problemów istotnych a ciekawych; Stanisława Fity – za doświadczenie polonistyczne oraz literaturoznawczą mądrość i warsztat „ewangelicznego pozytywisty”, bo może jako jedyny wybitny prusolog ma on tę umiejętność (dar Boży?) pokrewną autorowi *Lalki*; Michała Głowińskiego – za horyzonty myślowe, wyjątkowe wycucie problemów oraz łączenie zainteresowań teoretycznoliterackich z historycznoliterackimi, co zapewnia nader użyteczne „długie trwanie”; Janusza Maciejewskiego – za przenikliwość i *common sense*; Henryka Markiewicza – za erudycję i sztukę (w tym odwagę) wielkiej syntezy; Janusza Tazbira – za łączenie zainteresowań historycznych i literaturoznawczych mogące właśnie inspirować historyka literatury. Są jeszcze inni, nie tylko z kręgu pokoleniowego (B. Bobrowska, G. Borkowska, T. Budrewicz, B. Burdziej, S. Burkot, E. Ihnatowicz, A. Martuszevska, E. Paczoska, E. Pieścikowski, A. Stoff...), których bardzo cenię za wszechstronność zainteresowań, przejrzystość wykładu oraz pisanie o rzeczywiście ważnych problemach. Ale to nie jest, mimo wielokropka, lista *perpetua*. Samokrytycznie patrząc lubię to, czego mi nie dostaje.

Orzeszkowa pisała kiedyś *à propos* takich parcjalnych uzdolnień i zróżnicowanych osobowości, że „gdyby dwie [...] indywidualności [tj. jej i Sienkiewicza] zlać w jedną, byłby – szyk pisarz!”⁵ Ale nie zamieniłbym swojej mozaiki na jakąś hipotetyczną, wyobraźlaną całość. Nawet gdybym się z moimi wzorcami wewnętrznie lub na piśmie spierał, czułbym „żywego” człowieka, a nie hipostazę; a „to lubię”, jak rzekłby poeta. Może więc dlatego, chociaż w miarę możliwości staram się być „na bieżąco” co do ważnych spraw w humanistyce (szczególnie w literaturoznawstwie), z trudem przyszłoby mi wskazać ściśle współczesne książki zmuszające do ciągłych powrotów lub spoczywające na półce jako strażniczki dóbr. Wolę doraźne z nimi obcowanie oraz ich podręczną obecność. Bez nadmiernego sceptycyzmu czy melancholii, dowodzącej, że „słońce już zaszło” i „uśpiły się” akceptujące nowość władze umysłu, widzę jednak w literaturoznawczych innowacjach i zwrotach ostatniej dekady XX wieku jakby olbrzymie złoża weksli z cząstko-

⁴ Zob. H. Markiewicz, *O mojej bibliotece i trochę o mnie samym*. W: *Zabawy literackie*. Kraków 1992, s. 190: „co do jednego nie mam wątpliwości: biblioteka jest najlepszym dziełem naukowym mojego życia”.

⁵ E. Orzeszkowa, *Listy zebrane*. Oprac. E. Janowski. T. 4. Wrocław 1958, s. 120.

wym pokryciem, swoiste *credo* na kredyt; a po drugiej stronie – właśnie dinozaurów z ich potomstwem, niestrudzenie rekonstruujących i pracujących na gruzowisku, wytworzonym ze zrelatywizowania podstawowych kategorii, terminów i narzędzi. Co szczególne, nie jest to – zdaje się – przedział pokoleniowy, związany z metryką. Również początkujący poloniści, krążący ruchami satelitarnymi, np. jako doktoranci, wokół promotorów i określonych szkół, wożą z sobą na konferencje rozmaity bagaż własnych i przyswojonych postaw wypracowanych na kanwie wzorów, które albo nakłaniają do poddania się „terrorowi ostatniej nowości”, albo mają wbudowane liczne otamowania – *non possumus* w rozmaitych zakresach – przywodzące niezmiennie na myśl tradycje i szkoły bezprefiksalne: jakby wszelkie „post” i „po” ich nie objęły. Co najwyżej rygory akrybii nieco osłabły i weryfikowalność zmalała, i to jest zjawisko ogólniejsze, nad którym – sędzę – warto się zastanowić. Słowem, nie wszystko było złe w przeszłości, podobnie jak nie wszystko jest dobre w „globalnej wiosce”, której medialna i potoczna świadomość balansuje, paradoksalnie, między najszerszymi horyzontami technicznych udogodnień a mentalnością zaścianka czy wprost troglodyty, tak ucywilizowanego, że puszką szczeropolskiego „stronga” rozbija kosmopolityczny mózg internauty. Temu ogólniejszemu stanowi rzeczy odpowiada w literaturoznawstwie i krytyce literackiej pewien atroficzny styl, choć na szczęście nie w całej rozciągłości.

Gołym okiem widoczna jest bezkrwistość i jałowość literaturoznawczych oraz krytycznoliterackich sporów, o ile się zdarzają. Spierać się można w imię czegoś widzianego bez światłocienia, choć z nastawieniem, że trzeba ustąpić wobec lepszych argumentów. Któżby jednak chciał na serio bronić np. jakiegoś tradycyjnego „izmu”⁶, gdy dominują jego wersje unowocześnione, afirmatywnie prefiksalne, jakby magnetyzujące wyznawców samym dźwiękiem, przecież – spojrzmy spokojnie – sygnalizujące również ogrom treści wartych przepatrzenia i przyswojenia, bardziej już selektywnego. Gdybym chciał rozmnożyć dziedzinę bytów terminologicznych (niepotrzebnych), nazwałbym literaturoznawczą współczesność postpozytywizmem, jako epokę zmodernizowaną, ale ciągle przejściową, niegotową i niepewną swego, od strony teorii obracającą się w błędnym kole⁷ lub w granicach zakwestionowanych „schematów kategoryzacyjnych”⁸, hołdującą metodologii *bricolage*, w czym nie byłoby nic złego – „majsterkowiczem” jest z konieczności każdy literaturoznawca szukający metody adekwatnej do zbadania nowego obiektu – gdyby to „majsterkowanie” nie uchodziło np. za tym bardziej hipertekstualne i pożądane, im bardziej jest uprawiane na podstawie nieprzetrawionych, zgruzowanych i zrelatywizowanych elementów, zmistyfikowanych w tej niekompletności i pozorności. Chwiejność i ograniczoność metodologii nie jest jednak zjawiskiem nowym, lecz tylko – współcześnie – wyrazem natężonej samoświadomości, pamiętającej, że kolejne perfekcjonistyczne próby ukazania najbardziej sekretnych, ale i oczywistych mechanizmów literatury okazały się tymcza-

⁶ Choć w odosobnieniu zdarzają się wzniośli, posagowi praktycy, których nazwisk nie wymieniam (*primum non nocere*).

⁷ Zob. H. M a r k i e w i c z, *Rzut oka na najnowszą teorię badań literackich za granicą*. W zb.: *Współczesna teoria badań literackich za granicą. Antologia*. Oprac. H. M a r k i e w i c z. T. 4. Cz. 1. Kraków 1996, s. 26.

⁸ Zob. D. U l i c k a, *Synteza „dla Europy”*. „Przegląd Humanistyczny” 2000, nr 6, s. 65 (podrozdz. *Czy jest jeszcze możliwa historia literatury?*).

sowe. Możliwości względnie pewnej czy satysfakcjonującej refleksji literaturoznawczej są współcześnie tak obwarowane, że bodaj lepiej nie wszystko wiedzieć, by się po prostu nie obezwładnić. Bodaj lepiej, ale to już jest program maksymalistyczny, mieć określone rudymenty światopoglądowe i literaturoznawcze, „otwarte” na konfrontacje i warsztatowe udoskonalenia. I po prostu: robić swoje, rozwiązując ważne problemy, konstatając ewidentne rezultaty i niedoskonałości metodologicznych mód, trwanie historii i poezji, mimo prorokowania ich końca i wypędzania poetów – już przez Platona. A nic tak dobrze nie zapewnia poczucia stabilności i trwania wśród przeciwieństw – w epoce systemowej niepewności – jak ugruntowana a chłonna wiedza i serce ciągle nienasycone.

Historyk literatury jest w sytuacji o tyle bardziej komfortowej (a może niedzięcznej?) wobec np. teoretyka literatury, kultury, nauk społecznych, sztuki albo filozofa czy językoznawcy, że – jak przystało na antykwariusza prowadzącego wielki skład, a nie kramik – szukać musi na różnych półkach, w rozmaitych obszarach znaczeń i refleksji estetyczno-krytycznej; zarówno jeśli chodzi mu o pełny objaśniający opis (np. komentarz edytorski), jak i o rzeczywiste – a nie pozorowane – rozwiązanie jakiegoś problemu. Są wprawdzie określone nisze, jakby przechowalnie lub wieczne poczekalnie problemowo-tematyczne, pozwalające na ogół spokojnie trwać przy swoim, raz na zawsze utrwalonym kanonie zainteresowań i metod. Ale nie o nich chciałbym mówić myśląc o przyszłościowej historii literatury, mogącej radykalnie przeobrazić obowiązki zbieracza i wygląd antykwariusza. Jakkolwiek by więc tę skuteczną metodologię nazwać (*bricolage*, *bric-à-brac*, palimpsestową itp.), metodologię nie tyle wypracowaną, co wypracowywaną lub przynajmniej sprawdzaną za każdym razem, trzeba powiedzieć – na pochwałę historii literatury, jaką właśnie chciałbym jeszcze trochę uprawiać – że jest na pewno absorbująca, wyczerpująca i nie gwarantuje lawinowego przyrostu publikacji. Ale może zapewnić badaczowi, w co wierzę, coś w rodzaju odmładzającego eliksiru i ożywczego ducha, który pragnie za każdym razem zmierzyć się z czymś nowym i nawet to oswoić. Przyszłość historii literatury widzę więc jako ewolucję postawy otwartej i sceptycznej, poszukującej i wspartej na klasycznym kanonie, nastawionej na kreacyjne rozwiązywanie problemów, a nie na lotną egzemplifikację według „terroru ostatniej nowości”. Byłaby ta postawa przygotowana na olśnienie lub prawdziwą przygodę, ciągle z siebie niezadowolona, niespokojna. Jest jednak taki niebezpieczny punkt – do którego się dochodzi (zwłaszcza w ramach opcji, którą nazywam *credo* na kredyt) lub nie, gdy szczęśliwie on się oddala jak linia horyzontu – kiedy bardziej jest w cenie „uchwyt”, metoda, założenia aniżeli np. rejestr faktów, nowe złoża materiałowe czy świeżo przeczytana książka. Tak kiełkuje utajony paseizm, np. w następującej reakcji na postawę pasjonata: „Gniewała go ta ufna pilność, ten badawczy upór, sam bowiem doszedł był w pisaniu do tego stadium, gdzie już gorączka opada, gdzie się nie materiałów, ale poglądów i wyrazów szuka”⁹.

Już od dawna, a przynajmniej od kilkunastu lat, za nowymi teoriami literackimi, metodologiami, nowinkami teoriopoznawczymi, nie mówiąc już o wielkich teoriach humanistów, nie idą przekonujące literaturoznawcze (myślę głównie o historycznoliterackich) realizacje w formie analiz, syntez, kreowania nowych pro-

⁹ K. M. Górski, *Biblioman. Nowela*. Wyd. 2. Kraków 1925, s. 9.

blemów lub proponowania zaskakujących rozwiązań. Najlepsze spośród syntez wywodzą się zwykle z kręgu czasowego, jak też intelektualnego, jakby opóźnionego przynajmniej o jedno tempo, próbując to nadrobić z niewczesną gorliwością neofity. Jakby nie było do końca zaufania czy wiary w samą potrzebę wykonanej roboty, jakby pracowano ze świadomością, że wyznawczość (*credo*) jest w dużym stopniu i ciągle na kredyt. Ale z drugiej strony, która na szczęście istnieje, ta powściągliwość dobrze nieraz czyniąc, ustanawia i weryfikuje istotny praktyczny i ogólnodostępny kanon – wystarczy przejrzeć, jako publikacje probiercze, ostatnie roczniki „Pamiętnika Literackiego”, „Ruchu Literackiego”, „Przeglądu Humanistycznego” oraz rozmaite zbiory prac polonistycznych o lokalnym zasięgu. Tylko „Teksty Drugie” są, przynajmniej werbalnie i programowo (zwłaszcza w artykułach wstępnych), najbardziej i na ogół „w tempie”, *hic et nunc*, chociaż ich szczegółowa zawartość prezentuje już wdzięczne – acz nie bez istotnych wartości – pomieszanie opcji: nowoczesności z tradycją.

Ale nowa, inna, alternatywna lub konstruktywna historia literatury zawsze jest możliwa; dopóki piszą. Ona tworzy się niezależnie od deklaracji i teorii, choć zwykle ewolucyjnie, nie rewolucyjnie. Wystarczy spojrzeć na fundamentalne dzieła historycznoliterackie dotyczące poszczególnych epok literackich: średniowiecza (T. Michałowska), renesansu (J. Ziomek), baroku (Cz. Hernas), oświecenia (M. Klimowicz), romantyzmu (A. Witkowska i R. Przybylski), pozytywizmu (H. Markiewicz), Młodej Polski (A. Hutnikiewicz), Dwudziestolecia (J. Kwiatkowski), okresu drugiej wojny światowej (J. Święch). Granicą zrozumienia i porozumienia jest tutaj przecież zawsze obszar – niezmierny – intersubiektywnej weryfikowalności, choć np. bardzo subiektywna i własna jest część dzieła dotyczącego romantyzmu napisana przez Ryszarda Przybylskiego. A pierwiastkiem oczekiwanym przez odbiorcę, dotąd nie całkiem zaspokojonego, jest praktyczne wypełnienie konsekwencji wynikającej z Gadamerowskiej, zdaje się, nieuchronnej, „fuzji horyzontów”, tj. jasne uprzytomnienie, przecież bez prezentyzmu, jak zmieniają się wizje odległych czasów w każdypokoleniowej zależności od optyki patrzącego, ile z tej przeszłości wniknęło we współczesny genotyp, a ile bezpowrotnie przepadło lub straciło wstawianą atrakcyjność. Granice rysują się bowiem czasem bardzo wyraźnie, a hołubione wpływy wyglądają na wątpliwe, np. dość prawdziwie, a w każdym razie zastanawiająco brzmią słowa: „Młodzi badacze nie czują jedności z dziedzictwem romantyzmu. Zanika przekonanie, że można z niego czerpać projekt dostępu do przyszłości”¹⁰.

Słowem, „fuzja” bezwiedna mogłaby w większym stopniu, bo takie są wymogi utylitarnego czasu, przeistoczyć się w „stapianie horyzontów” bardziej świadome i spragmatyzowane, odpowiadające również na proste pytania w rodzaju: co mam lub mieć mogę z pozytywisty lub romantyka; czemu ich obu, dołączając nadto oświeceniowców i modernistów, nie pomieścić w jednoczącej formule XIX-wieczności albo nie wyłamać jeszcze większego bloku literatury nowożytnej następującego po piśmiennictwie staropolskim. Niedługo o taki bilans może się upomnieć dydaktyka akademicka, szukająca usamodzielnionych naukowo specjalistów, zdolnych – jak w reklamie – pomieścić nieomalże wszystko „w jednym”; *nb.* jako dziekan musia-

¹⁰ L. K a c z y Ń s k a, *Dramat romantyczny w teatrze współczesnym*. „Ruch Literacki” 2001, z. 2, s. 145.

łem już zadysponować zamianę „literatury współczesnej” na „XX-wieczną”, ubolewając, iż terażniejszość skurczyła się do Faustowskiego „trwaj, chwilo!” Jak widać, nowe widzenie epok literackich wymaga powiększenia kompetencji (do wiedzy polihistora?) i opiera się na schemacie wyobraźniowym, który wydatnie spłaszcza apłmitudę sinusoidy ilustrującej znaną koncepcję („sinusoidalną”) Juliana Krzyżanowskiego dwufalowości prądów literackich¹¹.

Niemniej bardziej fortunną, aniżeli nowa czy alternatywna, etykietą dla syntezy historycznoliterackiej wydaje mi się prosta, staromodna dewiza: dobra, tj. złożona z uogólniających zdań finalnych (jakby każde było ostatnim), ufundowana na bogatej empirii i krystalicznie przejrzysta w formie – czytać ją mógłby również nieprofesjonalista. Albo dobra w wersji raczej inicjującej aniżeli scalającej, a więc prezentująca nowe problemy i paradygmaty, nieoczekiwane rozwiązania, nowe nazwiska i punkty widzenia, rewaloryzacje zastanych mniemań, a wszystko to również na kanwie uaktywnienia własnego, oryginalnego zaplecza materiałowo-źródłowego i dokumentacyjnego, które, zdaje się jednak, nie jest silną stroną współczesnego literaturoznawstwa¹². Albo dobra z tytułu formy eseistycznej, ale nie wymuszonej i nierynkowej, bo jest to – sędzę – pewien dar, stopień dojrzałości i umiejętność popularyzacji na wysokim naukowym poziomie. Eseistyczność albo ma się w genach, uzdolnieniach, albo nabywa cierpliwie wraz z obrastaniem w wiedzę i doświadczenia, nie zawsze jednak. Więc pozostali, inaczej rozwijający się naukowo i wyposażeni przez naturę, niechaj się nie trapią, lecz robią swoje. Gdyby rynek piśmienniczy zapełnił się samymi literaturoznawczymi esejami, rygorystyczna scjencja stałaby się rarytasem; chociaż dzieło „wprowadza artysta”, literaturoznawcza rzecz nie polega, oczywiście, na „wypowiedzeniu”¹³, lecz na usensownieniu. Piękna i pożądana jest właśnie – różnaitość stworzenia. Byłaby to pozytywna strona wspomnianej praktyki *bricolage*’u. Nie tylko zresztą synteza może przyjąć formę eseistyczną, skoro takie są potrzeby i postulaty, coraz wyraziściej artykułowane, najpierw pod adresem twórców, którym „łżejsze pisanie” zaleca się jako w dzisiejszym modelu pisarstwa prawie nieuniknione¹⁴.

A chciałoby się jeszcze widzieć syntezę mądrą i dojrzałą, która odznacza się samodzielnością przyswojonych lektur, doświadczeniem nieapodyktycznym, aksjologią fundamentalną (lecz nie: fundamentalistyczną), a przy tym poczciwością – jako gotowa ustąpić miejsca lepszej następnicy. Nie byłaby to „historia” wszystkiego stłoczonego „w jednym”, ale np. prądu, nurtu czy paradygmatu, weryfikująca ustalenia, hierarchie i nazwiska; należałoby więc podjąć stosowne ryzyko. Ileż bowiem jest nieraz (auto)powieści i pożyczek, mówiąc eufemistycznie, w przepelniających rynek *quasi*-syntezach niekonkurencyjnych i niealternatywnych, ale cudownie kompatybilnych, w czym kryje się cała ironia skomputeryzowanej kul-

¹¹ J. Krzyżanowski, *Nauka o literaturze*. Wrocław 1969, s. 334 n.

¹² Może z tego powodu, iż ciągle brakuje np. przeglądów bibliograficznych, a istniejące nie są należycie studiowane. Wolno tak wnioskować z wielu prac i dezynwoltury (utajonej, ale też i jawnej, wyrażającej się w niechęci do finansowania), jaką się przejawia wobec kompendiów oraz potrzeb bibliograficzno-dokumentacyjnych.

¹³ Mikrocytataty z: S. Wyspiański, *Wyzwolenie*. W: *Dziela zebrane*. Red. zespołowa pod kier. L. Płoszewskiego. T. 5. Kraków 1959, s. 19–20.

¹⁴ Zob. I. Iwasiów, *Z tektury, z literatury*. „Nowe Książki” 2001, nr 2, s. 24.

tury¹⁵, wyobraźni i scjencji. *À propos* osiągnięć w syntezach, chciałbym bardzo, ażeby ktoś zrealizował dawny zamiar Prusa i napisał „*Emancypanta*”, słowem, upomniał się o emancypację mężczyzn: rozsądnych i mądrych, wskazując nieuzasadnione roszczenia pozostałych, zupełnie nie przygotowanych do polemik z Kingą Dunin („Wysokie Obcasy”, dodatek do „Gazety Wyborczej”). Ale patrząc chłodnym okiem przyznaję, że jedne z najciekawszych osiągnięć we współczesnej polskiej humanistyce trzeba przyznać pracom (G. Borkowskiej, I. Iwasiów, K. Kłosińskiej i innych) związanym z refleksją feministyczną, odsłaniającym prawdziwą ziemię nieznaną i obiecaną, istotnie nowe obszary wrażliwości i doznań estetycznych.

Puzony i „cymbał brzmiały”, komputer w każdym domu (a co z bezdomnymi?), „sieć” internetowa w rękach mentalnego analfabety – to są podtekstowe kulturowe znaki naszego czasu, który wcale się nie przeżywa ani nie pełza po ziemi, lecz z chyżością Farysa i bezwrażliwością Kalibana dopina się do każdej nowej myśli. Strawi i ukształtuje jeszcze niejedną historię i teorię literatury. Zakończenia historii, poezji, książek, wreszcie jakiejś nierynkowej formy multimedialnej jeszcze długo będą tematem dnia. Znakiem naszego czasu jest również alternatywny i konfliktowy status doktoranta oraz pracownika naukowego; to czołwiek będący w ciągłym niedoczasie, na etatach i rozjazdach, lub (bez)wolny najemita pozostający na zasiłku najbliższych osób. Swoistym znakiem kulturowym naszego czasu jest również to przekonanie – *opinio communis* i zarazem forma trudnego, bo zachowawczego pokrzepienia – że nauka w obliczu kryzysowych sytuacji sama się obroni, tj. asekurancko sfalsyfikuje się i ukonstytuuje, zwłaszcza w autorytatywnych szkołach i środowiskach¹⁶.

Wśród bezlotków zawsze były motyle i tym się trzeba – „*contra spem spero*” – pocieszać, wierząc nawet w nowy historyzm, który się już postarzał, i w dekonstrukcję, którą pożegnano¹⁷, nim zaowocowała dziełami literaturoznawczymi o względnie „długim trwaniu”. Potencjał intelektualny młodych polonistów, zdaje się – na razie i mimo wszystko – rośnie. Świadczą o tym nieraz doskonałe rozprawy doktorskie, których nikt nie publikuje. Oby tylko nie stało się ich autorów ambicją i dorobkiem (w ogóle, na dłużej, wyłącznie) pasywne, skredytowane *credo*¹⁸. Gdybym nie ufał, że będzie inaczej, już bym duchowo nie żył.

¹⁵ Kiedyś nazywano ją zhomogenizowaną, co wywoływało jeszcze większy dyzgust, gdyż najbardziej się nasuwająca podstawa porównania (serek biały) nie zachwycała wyglądem ani smakiem.

¹⁶ Impuls dało dzieło T. S. K u h n a *The Structure of Scientific Revolutions* (Chicago 1962).

¹⁷ Zob. A. B u r z y ń s k a, „*Żegnaj, dekonstrukcjo!*” „Ruch Literacki” 1999, z. 3. Przecież wzorem innych „izmów”, w tym najbardziej intertekstualizmu, zostawiła trwałe osady, przynajmniej sceptycyzmu.

¹⁸ To ostatnia chwila na jakiś współczesniający przykład lub nośną metaforę. *Credo* na kredyt, niepewne swego lub opóźnione przynajmniej o jedno istotne tempo, z nadmiarem rezerwy przechodzącej w nieopatrność, jest jak polski samochód (rzucony bez serwisu na krańce świata), jaki widziałem podczas swojej niedawnej polonistycznej przygody w Chinach. Otóż z jakąś sarmacką niefrasobliwością, ufni w europejskość, jakiej nam jeszcze oficjalnie nie zadekretowano (choć, zdaje się, od zawsze ją mieliśmy), sprzedaliśmy onegdaj Chińczykom nasze polonezy, jednak bez osprzętu i zaplecza technicznego. Teraz więc stoją tam, muzealne, albo poruszają się jako egzemplarze doprawdy osobne, zaniedbane zaś przez nas miejsce zajęły dobrze zorganizowane zachodnioeuropejskie koncerty, oczywiście z serwisem. W naszym polonezie samotny klakson, który gdy się zepsuje, nie zostanie naprawiony, to symboliczny „cymbał brzmiały” – akompaniament do *credo* na kredyt.